

osobną, wzbudającą niespodziewaną grozę nowej tajemnicy obok tajemnicy świata rzeczy i wewnętrznego świata człowieka. Mowa okazuje się poza tym siłą, niczym jakiś potężny nurt wody, który wypłukuje z nas i zabiera ze sobą te wszystkie pierwiastki naszego jestestwa, które zostały dotknięte słowami. Dotknięte, czyli nazwane, a jeśli nazwane, to jakby zakończone w swojej ontycznej roli, jaką pełnią wewnątrz naszego bytu. Po odegraniu tej roli znikają wraz ze słowami, które obwieściły im koniec i odejście. Stają się jestestwu ludzkiemu niepotrzebne. Ono się w ten sposób oczyszcza tak dalece, aż staje się „najczystszy istnieniem, / niepodzielną na słowa ostateczną prawdą”.

A więc może należałoby mowę tutaj traktować jako duchową siłę, która nas oczyszcza z tego, co składa się na ulotność naszego bytu i bytowania, na ich przygodność. Jako byty cielesne bowiem jesteśmy poddani przemijaniu. Ale jest w nas jakieś residuum, które nie przemija. Do tego residuum unosi nas rzeka wypowiedzianych słów, wypełniająca czas naszego ziemskiego bytowania, zamieniająca się w zamknięty akwen mowy, w której już nie rozpoznajemy samych siebie – „mowy nie do wiary ciemnej”. Nie rozumiejąc naszej mowy, nie rozumiemy samych siebie. Giniemy jako istoty mówiące, których istnienie naznaczone jest słowem, a zamieniamy się w „czyste istnienie” bez słów i bez tego, co one ze sobą noszą i czym nas obdarzają. Ono dopiero jest naszą „prawdą ostateczną”.

Tak bym dzisiaj, po ponad pół wieku, odczytywał ten tajemniczy dla mnie samego wiersz napisany, gdy miałem dziewiętnaście lat. W tym wierszu świadomy logos poezji ma charakter zaledwie embrionalny, zastępuje go instynkt. A odczytywać to, co powstaje za sprawą instynktu, to zadanie tyleż trudne, co niepewne, a nawet ryzykowne. Ale twory ludzkiej myśli i wyobraźni, gdy opuszczają swoich twórców, stają się własnością kultury i tych, którzy w niej uczestniczą jako czytelnicy, słuchacze czy widzowie i jako ci, którzy nie poprzestają na tym, co słyszą i widzą, lecz pragną jeszcze to dogłębnie zrozumieć. I właśnie to skłania mnie do snucia interpretacyjnych refleksji nad swoimi wierszami, które mnie opuściły po ich napisaniu lat temu niekiedy kilkadziesiąt, tak jak w przypadku omawianego teraz wiersza *Mowa*.

Ad Deum absconditum

*Mądrość Stwórcy niczego nie czyni
bez harmonii i bez racji*

G. W. Leibniz, *Nowe rozważania
dotyczące rozumu ludzkiego*

Od wody wieje wiatr, nalewa
samotność we mnie noc i dzień,
i upodabnam się do drzewa,
które w zimowy idzie sen.

Dla ciszy ciała swe otwieram.
Ty jeden, ciemny Boże, wiesz,
że jeśli ciało gdzieś umiera,
to cisza w Tobie rodzi dreszcz.

I wchodzisz we mnie owym dreszczem –
mój lęk dla Ciebie bramą.
I nie wiem, Boże, jak Cię zmieszczać,

a wiatr i śnieg już idą za mną.

Nad ciemną ziemią wschodzisz smugą,
gdzie serce moje Cię zasiało.
Ja – wód głębokich, wiatrów sługa
w Twe światło niosę ciało.

Przygaśnij nieco, zmień się w drzewo,
stań się na chwilę wiatrem.
Słyszysz, jak ciało moje śpiewa
u wrót Twych, Mundi Pater?

I co uczynisz z nim Świetlisty,
gdy wniosę je w Twój ogień?
Czy z martwej ciszy je oczyścisz,
czy rzucisz je odłogiem?

Cokolwiek, Boże, z nim uczynisz,
cokolwiek mu się zdarzy,
w Twoim jest ręką świata Finisz,
wszystko odbiciem Twojej twarzy.

Więc nic nie zginie, nawet gdy
obróciłbyś je w nicłość,
bo nicość także Twoja jest,
jak Twój jest byt i czas, i litość.
Nie mogę przeto nawet ciała
utracić, bo nie moje.

W Twym dobroczynnym cieniu z ognia
nawet nicości swej nie stracę.
Bo nicość pije byt Twój do dna
i w światło się obraca.

Niech więc to światło, Wielki Boże,
zakwitnie we mnie sadem,
a ciała mego pieśń jak w morze
w Twe cisze się zapadnie.

1982; 2011

Po coś Boże

Pamięci Profesora Leszka Kołakowskiego

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
wszystkie zgasną, gdy umrę i odejdę w ciemność.
Twa rozrzutność gwiazdzista dla mnie niepojęta –
dla mizernego ciała taka ucztą świętą?

Po coś, Boże, zasadził tyle drzew na ziemi,
dla mnie jedno wystarczy, co nie rodzi cienia
i rośnie tam, gdzie duch mój wypuszcza korzenie,
a z nich idzie pieśń ciała w czasy i przestrzenie.

Po coś, Boże, utworzył tyle ptaków polnych?
Moim polom by starczył jeden ptak, lecz wolny.
Moim lasom, co rosną w głębiach mego ciała,
wystarczy, aby wilga deszcz wyśpiewywała.

Gdybyś mnie był uczynił owadem w powietrzu,
może bytów nadmiaru tak bardzo bym nie czuł.
Zawieszony w nieważkiej eteru przestrzeni
czułbym się bardziej bratem, niżli wrogiem cieni.

I nigdy bym swym skrzydłem tak jak przeszłość
kruchym nie podważał niebiosów, by głos Twój
wysłuchać.

I nigdy bym na Ciebie nie podnosił larum,
dlatego żeś mnie stworzył niedorzeczną marą.

Lecz istniałbym, jak we śnie istnieją powąsy,
przychodzą skąd nie wiedzieć, biją do bram

jawy,
jawa przed nimi bytu otwiera podwoje,
a one dotykając, dzielą byt na dwoje.
I byt tak rozdzielony idzie na rozstaje,
gdzie zarówno trwa wiecznie, jak wiecznie
powstaje.

Tak bym i ja się uczył na jawie i we śnie,
jak powstawać i ginać, a istnieć równieśnie.
Lecz zrodzon z prochu ziemi do nieba wciąż
wzlatam
jak wiatr nieświadom siły, która nim pomiata,
jak kometa, kosmosu błędząca ofiara,
w której wszystko spłonęło, został los i wiara.

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno.
I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą,
przecież prościej, więc lepiej, gdyby mnie nie
było.

Złożony z światła duszy i z ciała ciemności,
czemuż nie jestem, Boże, pewny Twojej miłości?

Czestków, 28 sierpnia 1994; Mława, sierpień 2009

Drzewo drzew*

Nad stanami jest i s t a n ó w – s t a n
C. K. Norwid, *Pielgrzym*

Gdy słońce gasło ogromne nad puszcza
i wiatr z ziemi odrywał mroczniejsze góry,
drzewa wzniosły do nieba korony
i zapłakały głosem wielkim:
Słońce, ach, Słońce, czemu nas opuszczasz!

Wówczas nad puszcza wypłynął śnieżny anioł
chmur
i rzekł: nie płaczcie, światła ziemi nie zbraknie,
albowiem jesteście z Królestwa Zieleni,
gdzie Słońce ciągle wraca do źródeł kolorów.

Bo nie z tej puszczy jest królestwo wasze
i nie z tej wody, którą pije korzeń
i nie z tej ziemi, którą woda zrasza,
nie z tego światła, co wam świeci co dzień.

Jest bowiem Słońce-słońc i wiatrów-Wiatr
i drzew rozlicznych jedno Drzewo.
I jeden Korzeń żywi nas. I jest
Ziemia spokoju za tą ziemią,
gdzie ten sam Konar wiecznie trwa,
choć wciąż się w puszcza zmienia.

1962; 1983

*) We wcześniejszych wydaniach tytuł brzmiał *Z biblii leśnej*.

Mowa

Któż pojąć umie mowę?
J. Zonszajn

Jakże tu dowieść swojej tożsamości?
Któż imię dał ci i co ono znaczy?
Modliłeś się do ściany, lecz popatrz zniknęła.
A już za tobą idzie śniegu dzwon.

Wieczorem słowa rosną jak zbielełe włosy,
przynoszą mowę nie do wiary ciemną,
odbijają nas w sobie i z sobą unoszą
to wszystko, co na trwoni i zostaje w znaku.

Aż stajemy się w końcu najczystszy istnieniem
niepodzielną na słowa ostateczną prawdą.
1962